



GRAHAM
MASTERTON

SZKARŁATNA WDOWA

Prolog

W wielkanocny poranek, po długim i bolesnym porodzie, Beatrice powiła dziewczynkę. Kiedy wreszcie usłyszała jej płacz, poczuła się tak, jakby pozbyła się ciężkiego kamienia i za sprawą cudu powróciła do życia.

– Jest piękna – powiedziała pani Rust, podsuwając jej noworodka. – Ma ciemne włosy jak ty. Ale oczy chyba ma po ojcu, nie sądzisz?

– Postaraj się uciąć pępowinę krótko – wtrąciła pani Kettle. – Nie chcemy, żeby wyrosła z niej ladacznica!

Beatrice podciągnęła się nieco, aby usiąść. Włosy miała mokre od potu, a w ustach jej zaschło. Poranne słońce oślepiało ją, więc tłum przyjaciółek i sąsiadek zgromadzonych w jej sypialni zdawał się jej teatrem cieni. Siedem z nich siedziało przy niej przez całą noc, karmiąc ją pożywnym ciastem, pojąc piwem i pocieszając, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Teraz trajkotały, śmiały się i podawały sobie niemowlę z rąk do rąk.

Pani Rust usiadła na łóżku obok Beatrice i poprawiła poduszki.

– Na pewno będzie miała szczęśliwy żywot – powiedziała cicho. – Wiesz, co mówią? Że łyzy boleści zraszają ogród szczęścia.

– Zachowałam dla ciebie łóżysko – odezwała się pani Greene. – Zaniosem do kuchni, żeby Mary je wysuszyła.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem Beatrice.

– No, a teraz się połóż – powiedziała pani Rust. – Posprzątam tutaj i będziesz mogła się przespać.

– Ale daj mi ją jeszcze potrzymać – upomniała się Beatrice. Podano noworodka pani Rust, a ta włożyła go w ramiona Bei.

Dziewczynka miała teraz zamknięte oczka, chociaż Beatrice dostrzegła, że pod powiekami szybko porusza gałkami, jakby już jej się coś śniło.

Czubkiem palca dotknęła koniuszka jej noska.

– Kim jesteś, moje maleństwo? – wyszeptwała.

Rozdział 1

W Boże Narodzenie, kiedy wracała wczesnym rankiem z kościoła, na progu natrafili na klęczącą dziewczynkę przypominającą aniołka.

Jej głowę okalała kanciasta, lodowa aureola, a na plecach zebrała się cienka warstwa szronu, tworząc coś na kształt białych złożonych skrzydeł. Miała otwarte mlecznobłękitne oczy i lekko rozchylone usta, jakby za chwilę miała zacząć śpiewać.

Ojciec Beatrice stał, przyglądając się dziewczynce przez chwilę, a potem wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia.

– Zamarznięta na kość – stwierdził. – Idź do domu, Beo. Cofnę się po zakrystiana.

Beatrice zawahała się, a śnieg padał bezgłośnie na jej czepkę i pelerynę. Już wcześniej widziała na ulicach martwe dzieci, ale dziewczynka znaleziona w zaułku, którym na skróty zmierzali do domu, wprawiła ją w większy smutek. Było Boże Narodzenie, rozbrzmiewały kościelne dzwony, słyszała śmiech i śpiewy ludzi, którzy szli ulicą Giltspur z

powrotem do swych domów, ognisk i rodzin.

Poza tym dziewczynka była taka piękna, chociaż bardzo blada i wychudzona, a Beatrice wyobrażała sobie, jakie to szczęśliwe życie mogło ją czekać.

– Idź, Beo – powtórzył ojciec. – Już nikt nic więcej nie może dla niej zrobić, poza modlitwą.

Rozdział 2

Tego popołudnia, podczas obiadu, ojciec powiedział:

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie możliwe, żeby zachować ukochane osoby po ich śmierci dokładnie takimi, jakimi były za życia?

– Clemencie, co ci chodzi po głowie? – obruszyła się jej matka, nakładając mu buraki na talerz.

– No, na przykład ta biedna dziewczynka, którą rano znaleźliśmy z Beą. Oczywiście, była tylko zamarznęta, więc jej wnętrze długo nie wytrzymają. Ale gdyby tak można było zamienić ludzi w kamień albo w drewno? Wtedy można by ich zachować na zawsze.

– Oj, Clemencie, co to za pomysł! Nie wyobrażam sobie, żeby drewniany posąg mojej matki siedział z nami przy stole! Chybabym oszalała!

Ojciec uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Tak... Tak, być może masz rację. Ale można by to zrobić z jakimś zwierzątkiem. Z psem albo kotem. Wtedy dzieciak mógłby się bawić nim w nieskończoność.

Beatrice odłożyła łyżkę.

– Co ci jest, Beo? – spytała ją matka. – Nie jesteś głodna?
– Nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynce – powiedziała Beatrice. – Gdyby tylko ktoś dał jej coś do zjedzenia i pozwolił ogrzać się przy ogniu.

– Nie zamartwiaj się. Jest teraz w niebie i Pan Jezus się nią zaopiekuje.

Beatrice nic już nie odpowiedziała. Nie chciała przeciwstawić się matce. Chociaż miała dopiero osiem i pół roku i nigdy nie ośmieliła się myśleć inaczej niż rodzice, nie mogła przestać zastanawiać się nad tym, czy niebo istnieje naprawdę, czy to tylko zmyślona historyjka, żeby ludzie nie smucili się tak bardzo utratą najbliższych. A może, kiedy zamarzniesz na śmierć, jest ci już zawsze zimno?

Rozdział 3

– Chodź tu, Beo! – zawołał ojciec, stając w drzwiach kuchni, oświetlony od tyłu promieniami słonecznymi. – Pokażę ci coś wspaniałego!

– Och, proszę, Clemencie! – zaprotestowała mama. – Ma teraz jeść śniadanie!

– To nie potrwa długo – przekonywał ją. Oczy mu się rozświeciły i uśmiechnął się, jak zawsze, gdy udał mu się eksperyment.

– To samo mówiłeś, kiedy zrobiłeś ten tak zwany wulkan – sprzeciwiła się matka. – „To nie potrwa długo”, i biedna dziewczyna wróciła po dwóch godzinach, cuchnąc siarką, jakby poszła do piekła i z powrotem!

Zakaszłała, jakby samo wspomnienie podrażniło jej gardło.

– Teraz to będzie tylko pięć minut – obiecywał ojciec. – Przysięgam, na życie mojej drogiej matki.

– Clemencie, bardzo dobrze wiesz, że nie cierpiałeś swojej matki, a poza tym ona zmarła przed laty.

Jednak Beatrice sama zakończyła ten spór, odsuwając krzesło i przechodząc przez kuchnię, żeby wziąć tatę za rękę.

– Co to takiego, tatusiu? Zrobiłeś błyskawicę?

– Nie, nie. Jeszcze nie wychodzi mi z tą błyskawicą. Zrobię ją, na pewno, ale teraz to coś innego! Chodź i sama zobacz.

Beatrice spojrzała błagalnym wzrokiem na matkę, a ta po chwili machnęła ręką.

– W takim razie idź... – Westchnęła. – Ale tylko na pięć minut, bo owsianka ci wystygnie!

Beatrice wyszła z ojcem przez spiżarnię i trzymając się za ręce, przemierzyli otoczony wysokim murem ogród z ziołami. Na schludnych grządkach rósł piołun, fenkuły, lawenda, rozmaryn i marchewnik anyżowy. Był ciepły letni poranek, a rośliny pachniały tak mocno, że dziewczynka kichnęła.

– Na zdrowie! – zawołał tata. A potem, spoglądając na nią z góry, dodał o wiele ciszej: – Na zdrowie.

Weszli do pobielonej przybudówki znajdującej się na tyłach domu. To tutaj ojciec ucierał wszystkie zioła i korzenie dla klientów, przygotowywał lecznicze mikstury, i tutaj także pracował nad tym, co nazywał swoimi „tajemnicami”. Było tu chłodno i ciemno, ponieważ okna były małe i brudne. Na trzech ścianach wisiały półki zastawione fiolkami i butelkami aptecznymi pełnymi różowych, zielonych i żółtych substancji oraz porcelanowe słoje na przyprawy z napisami: imbir, galangal, szafran, pieprz, goździki, cynamon i gałka muszkatołowa. Poza tym mocno tu pachniało, ale nie tak aromatycznie jak w ziołowym ogrodzie; tu zapach był ostry i piżmowy. Czując go, Bea zawsze wyobrażała sobie dalekie kraje, gdzie mężczyźni noszą turbany, a kobiety mają zasłonięte twarze, i wszyscy latają na dywanach, jak w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*.

– Nie uwierzysz, jak zobaczysz, Beo – powiedział ojciec,

prowadząc ją do warsztatu na końcu pokoju. Błat zastawiony był garnkami i patelniami, świecznikami i przeróżnymi szklanymi retortami. Na samym środku stał miedziany pojemnik w kształcie łódki, przypominający raczej garnek do ryb, do połowy wypełniony kleistym żółtym olejem.

Obok pojemnika ojciec Beatrice rozłożył brązową bawełnianą szmatkę, pod którą najwyraźniej coś było schowane, bo była na środku wybrzuszona.

– Pamiętasz Gwiazdkę, kiedy znaleźliśmy tę biedną zamarniętą dziewczynkę w Zaułku Dzwonnika, a ja mówiłem o przemianie zwierząt w drewno, żeby prawdziwe zwierzątko mogło stać się zabawką?

Beatrice skinęła głową, szeroko otwierając oczy. Nie odzywała się, ponieważ wszystko, co jej tata robił, zawsze ją dziwiło. Kiedyś powiększył kroplę wody i wyświetlił jej obraz na ścianie, żeby pokazać wszystkie maciupęńkie stworzonka, które roily się w środku. Innym razem zrobił tak, że z palców leciały mu iskry, jakby był czarownikiem. Potrafił sprawić, że płyny zmieniały się z zielonych w fioletowe i na powrót w zielone, a żelazne opiłki pełzyły po kartce jak pająki, gasił też zapalone świece, nawet ich nie dotykając. Spowodował nawet, że martwa żaba zeskoczyła ze stołu na podłogę.

Teraz chwycił za jeden róg szmatki.

– Zobaczysz teraz cud nauki, o którym człowiek marzył od stuleci! Nawet najwięksi alchemicy ze starożytnego Egiptu nie potrafili tego dokonać!

Beatrice nie mogła powstrzymać śmiechu. Tata zwykle był bardzo poważny i nie okazywał emocji, a kiedy rozmawiał z klientami, twarz zawsze miał ponurą. Był przystojny, o nieco lisich rysach, a przedwcześnie posiwiałe włosy

zaczesał do tyłu. Zazwyczaj ubierał się elegancko, ale tego ranka miał na sobie samą koszulę, nawet bez przypiętego kołnierzyka.

– Daję ci... Drewnianego szczura! – wykrzyknął i zerwał szmatkę.

Na stole stał wielki pręgowany szczur i oczami czarnymi jak paciorki wpatrywał się w Beatrice. Dziewczynka wrzasnęła i odskoczyła, podnosząc fartuszek do twarzy. Preraźliwie bała się szczurów. Zaledwie przed dwoma tygodniami, kiedy poszła w odwiedziny do swojej koleżanki Lucy, która mieszkała przy Cock Lane, usłyszały, że jej mały brat Rufus płacze. Pobiegły do pokoju dziecinnego i zobaczyły, że wielki szary szczur wspiął się do łóżeczka i gryzł go w twarz.

– Nie bój się! Ten nie robi ci krzywdy! – To powiedziawszy, ojciec podniósł szczura i uderzył nim o kant stołu. Rozległo się stuknięcie, jakby gryzoń był wyrzeźbiony z kawałka mahoni.

Beatrice nadal trzymała się z daleka.

– Wygląda jak prawdziwy – wyszeptęła. – Ma futro i wąsy, i prawdziwe zęby!

– Jest całkiem prawdziwy, moja kochana! Sam go złapałem w beczce na deszczówkę w ogrodzie!

– To co z nim zrobiłeś? Jak go zamieniłeś w drewno?

– Aha! Najpierw go uspiłem, wkładając do szklanego flakonu i odsysając całe powietrze, żeby nie mógł więcej oddychać. Potem, kiedy już nie żył, delikatnie podgrzewałem jego ciało przez dwa dni w lnianym oleju. Następnie wyjąłem go z oleju, umyłem i osuszyłem, i zostawiłem do ostygnięcia. I oto jest! Całkiem nieszkodliwy, zabawka, a nie szkodnik!

– To okropne – stwierdziła Beatrice. – Nie chciałbym się

nim bawić!

– Świetnie cię rozumiem, przecież to szczur. Wybrałem go do mojego pierwszego eksperymentu, bo jest obrzydliwy. Ale można też zamienić kotki, szczeniaki albo króliczki w drewniane zabawki, i będą milusie.

– Nie, nie będą! Jak możesz tak mówić? Kotki, szczeniaki i króliczki? To by było okrutne!

Ojciec wyglądał na zaskoczonego.

– Robiłbym tak tylko z niechcianymi i bezdomnymi zwierzątkami, Beo. Inaczej, co by się z nimi stało? Albo zginęłyby z głodu, albo zawiązano by je w worku i wrzucono do rzeki. U nas przynajmniej odeszłyby bezboleśnie, a potem jeszcze całymi latami dawałyby przyjemność i radość dzieciom, które by je dostały. Proszę – powiedział ojciec, podsuwając jej szczura. – Dotknij go, pogłaszcz. Nie ugryzie cię.

Beatrice niechętnie szturchnęła szczura czubkiem palca. Był zupełnie twardy, a jego sierść była ostra i szorstka, jak ryżowa szczotka.

– To okropne – upierała się.

– Hm, tak, może i tak. To w końcu szczur. Ale wygląda dokładnie tak jak za życia... Dokładnie... I to kolejne wykorzystanie tej metody. Taksydermia.

Dziewczynka pokręciła głową, żeby pokazać ojcu, że nie wie, co to takiego jest taksydermia. W końcu miała tylko dwanaście lat.

– Taksydermia to wypychanie martwych zwierząt i pokazywanie ich. Wiesz, jak głowy jeleni, papugi, ryby w szklanych gablotach.

– Ach, tak – odpowiedziała Beatrice. – Przed Shepard's Coffee House stoi wypchany chart angielski. Zawsze się go

bałam. Myślałam, że może nagle ożyć i mnie pogonić.

Ojciec uśmiechnął się.

– Tak... Ale przyznasz, że ten chart wygląda dziwnie, co? Cały pokrzywiony, z haczykowatym ogonem i głupawym uśmiechem. To dlatego, że do uzyskania naturalnego kształtu i cech martwego zwierzęcia potrzeba ogromnych umiejętności i wiedzy anatomicznej, a niewielu taksydermistów je posiada. Za to dzięki tej metodzie – uniósł stwardniałego szczura – dowolne stworzenie będzie wyglądało dokładnie tak, jakby żyło i oddychało.

Przerwał, a potem dodał:

– Może kiedyś ktoś zrobi coś podobnego z ludźmi. Wiesz, gdy straci się kogoś ukochanego...

– Tato! – oburzyła się Beatrice.

– Nie, oczywiście, że nie – rzekł ojciec. – Tylko taka myśl mi przyszła do głowy. – Odwracał szczura na różne strony, a potem odłożył go na stół. – Naprawdę ci się nie podoba? Myślałem, że go polubisz.

Beatrice zdecydowanie pokręciła głową.

– Cóż, jesteś bardziej podobna do matki niż do mnie – zdecydował ojciec. Objął ją ramieniem i pocałował w głowę.
– Twoja mama nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Wyszli na dwór, do ogrodu z ziołami, a ojciec zamknął domek na klucz. Kiedy byli już przed kuchennymi drzwiami, znowu usłyszeli kaszel mamy, tym razem bardziej uporczywy. Weszli do środka i zastali ją przy zlewie, o który się opierała i wycierała usta chusteczką.

– Nancy, ten kaszel wygląda na gorszy – powiedział Clement.

Matka szybko splukała plwocinę.

– Nic mi nie jest. To jest to letnie przeziębienie. Wiesz,

jakie mam słabe płuca. Beo, możesz już sięść do śniadania?
Co tata chciał ci pokazać?

– Szczura zamienionego w drewno. Był wstrętny.

– Prawdziwego szczura?

Beatrice usiadła przy stole, a mama przyniosła jej miskę owsianki.

– Bea nie zainteresowała się nim specjalnie – dodał ojciec.

– Ale znajdę sposób, żeby ludzie konserwowali żywe stworzenia dokładnie takimi, jakimi są za życia, na zawsze.

– Czy to w ogóle możliwe? – spytała Nancy. – Nie wiedziałam, że coś takiego może przetrwać na zawsze.

Clement stał w drzwiach, nic nie mówiąc, tylko patrząc na żonę zatroskanym wzrokiem. Beatrice zerknęła na niego znad miski z owsianką, nie rozumiejąc skąd ten niepokój w jego oczach.

– Muszę się do końca ubrać, moja droga – powiedział po chwili. – I otworzyć sklep. Zanim się obejrzę, klienci będą walić do drzwi.

– Zrobię ci herbaty – odparła Nancy i zakaszła, raz, a potem jeszcze raz.

• • •

Wczesnie rano Beatrice zbudził kaszel mamy. Przez ścianę słyszała, jak ojciec z nią rozmawia i jak skrzypi łóżko; a potem zapaliło się światło na korytarzu, bo schodził na dół, żeby przynieść jej wody.

Beatrice wstała i cichutko przeszła pod sypialnię rodziców. Mama siedziała na łóżku wsparta na poduszkach. Była śmiertelnie blada i przyciskała chusteczkę do ust. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale wtedy znowu zaczęła kaszleć. Beatrice obeszła łóżko i cierpliwie czekała,

aż kaszel ustanie.

– Nie podchodź do mnie zbyt blisko, Beo – powiedziała mama, ocierając usta. – Nie chcę, żebyś zaraziła się, cokolwiek mi dolega.

Chociaż mama zmięła chusteczkę w dłoni, dziewczynka zdążyła zauważyć, że jest poplamiona na różowo.

– Mamo, powinienam sprowadzić lekarza.

– Nie ma takiej potrzeby. Twój tata przygotowuje dla mnie miksturę, która złagodzi kaszel.

Znowu zakaszała, i tym razem chusteczka zrobiła się czerwona od krwi.

– Tato! – zawołała przerażona Beatrice. – Tato!

Usłyszała, jak ojciec wbiega po schodach. Wpadł do sypialni w długiej, białej koszuli nocnej i delikatnie odsunął córkę na bok, żeby usiąść na łóżku obok żony. Nancy znowu zaczęła kaszeleć, obryzgując koszulę plamkami krwi.

– Beo, proszę, przynieś mi ścierkę – polecił ojciec. – Jakąkolwiek. Znajdziesz jakieś w dolnej szufladzie.

Odsunęła szufladę i wyjęła małą, płócienną ściereczkę; tata rozłożył ją jednym potrząśnięciem i podał mamie. Nancy znowu kaszała, zasłaniając ścierką usta, ale więcej krwi już nie poleciało, tylko zaróżowiona płwocina. Ojciec przytrzymał ją za ramiona, gdy na siedząco walczyła o oddech, a jej pierś unosiła się i opadała z ostrym rżeniem.

– Jak się teraz czujesz? – zapytał po chwili, a ona skinęła głową, chociaż oczami omiatała pokój, jakby nie zrozumiała, co tu robi.

Odwrócił się do Beatrice i powiedział:

– Na stole w kuchni stoi kubek wody i zielona butelka. Możesz je tu przynieść? I łyżkę.

Kiedy wróciła, niosąc to, o co prosił, ojciec pomógł mamie

napić się wody. Potem podał jej dwie łyżki szmaragdowego lekarstwa, które sam przygotował.

– Proszę, moja kochana. Czyściec i miódunka z odrobiną miodu. Powinny zmniejszyć wydzielinę z płuc. A teraz spróbuj się przespać. Rano powinnaś poczuć się lepiej.

Pomógł jej się położyć i przewrócić na bok. Bładożółty koc naciągnął jej pod szyję. W sypialni było ciepło i duszno, ale ona drżała i pociła się, szcękając zębami.

Ojciec zabrał Beatrice do jej pokoju.

– Mamie jest dużo gorzej – powiedziała dziewczynka zmartwiona, spoglądając przez korytarz na matkę w łóżku. – Dzisiaj rano powiedziała, że to tylko przeziębienie. Dlaczego pluje krwią?

– Zdaje się, że ma suchoty – odpowiedział ojciec. – Módlmy się, żeby to nie było to, ale zobaczymy, jak się poczuje za kilka godzin. Lekarstwo, które jej dałem, powinno pomóc.

– Będziemy musieli zabrać ją do szpitala?

– Do Świętego Tomasza? – spytał ojciec. – Nie. Mogę ją leczyć w domu, tak samo jak wszyscy lekarze w tym szambie. Ale zanim położysz się spać, Beo, poproś Pana Boga, aby miał ją w opiece i żeby wyzdrowiała, dobrze?

Beatrice pokiwała głową i przytuliła się do taty. Jego broda połaskotała ją w policzek i przypomniał jej się szczur z najeżoną sierścią; pomyślała wtedy o tym, co mówił ojciec o konserwowaniu ludzi. Widziała, jak mama wpatruje się w świeczkę przy łóżku – jej piękna matka z ciemnymi lokami leżącymi na poduszce. Odsunęła od siebie myśl o tym, że mogłaby ją stracić i o tym, co się stanie, jeżeli umrze.

Usłyszeli znowu kaszel mamy, więc tata, pocałowawszy córkę w czoło, wrócił do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Długo nie mogła zasnąć i leżała z otwartymi oczami. Trudno jej było się modlić, gdy mama nieustannie kaszłała, a co dopiero zasnąć. Kiedy w końcu zapadła w sen, śniło jej się, że weszła do salonu, gdzie zastała mamę siedzącą przy oknie z tamborkiem do haftowania. Gdy zaczęła do niej podchodzić, zauważyła, że igła jest wbita, ale dłonie mamy się nie poruszają.

– Mamo! – usłyszała własny, przytłumiony głos. – Mamo!

Lecz mama nie odpowiadała, ani nawet nie podniosła oczu. Zanim Beatrice znalazła się na środku salonu, uświadomiła sobie, że mama nie żyje, a tata zamienił ją w drewno.

• • •

Pewnego ranka trzy tygodnie później Beatrice obudziła się, a w domu panowała cisza.

Przez wiele dni i nocy jej mama kaszłała prawie nieustannie, ale teraz najwyraźniej przestała. Na zewnątrz było ciepło i wietrznie. Widziała, jak papiery przelatują przed jej oknem i przez całą ulicę Giltspur, docierały do niej przytłumione pokrzykiwania handlarzy zmieszane z hurgotem kół wózków podskakujących na kocich łbach. W domu jednak było duszno i cicho.

Wstała i przeszła do pokoju rodziców. Zobaczyła ojca klęczącego koło łóżka, miał pochyloną głowę i trzymał dłoń matki, która leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Nie oddychała.

– Tato? – wyszeptała Beatrice.

Odwrócił się do niej. Nigdy nie widziała u nikogo tak zbolalej twarzy.

– Beo, mama jest teraz u Boga – powiedział. – Od teraz

jesteśmy tylko ty i ja, i nikt się nami nie zajmie, tylko my sami.